

Pani korzenie wywodzą się z wielopokoleniowej rodziny częstochowskich Żydów. Pradziadek nadrabbin Nachum Asz był powszechnie szanowanym obywatelem Częstochowy i duchowym przywódcą żydowskiej społeczności w tym mieście. Co skłoniło Panią do podjęcia się żmudnej pracy, poszukiwania śladów aktywności życiowej i wkładu do rozwoju miasta członków rodziny oraz całej częstochowskiej społeczności żydowskiej przed tragedią shoah?

Po dwudziestu pięciu latach pracy zawodowej i przejściu na emeryturę miałam dużo czasu wolnego. Mój mąż zmarł, a syn był za granicą. Postanowiłam odwiedzić w Polsce mojego brata Andrzeja Urbańczyka. Razem z Tatą – Marianem i Mamą – Wiktoria były moją przybraną rodziną z czasów okupacji i pierwszych lat po wyzwoleniu. Andrzej przedstawił mi swoją żonę, dużo rozmawialiśmy, a ja wypytywałam go o nasze wspólne dzieciństwo. Aż któregoś dnia Andrzej stwierdził, że muszę kogoś poznać. Tą osobą była Elżbieta, żona wielkiego poety i pisarza Jerzego Ficowskiego. Zadzwoiłam do niej i umówiliśmy się na spotkanie podczas mojej kolejnej wizyty w Polsce. To chyba był rok 1996. Latem 1997 roku w „Kawiarni Literacka” na Krakowskim Przedmieściu w Warszawie poznałam Elżbietę Ficowską, jej męża Jerzego Ficowskiego oraz Renatę Skotnicką-Zaidman. Pamiętam, że to był niezwykle upalny dzień. Elżbieta, Renata i ja miałyśmy duże kapelusze na głowach, które chroniły nas od słońca. Rozmawialiśmy bardzo długo. Elżbieta z Renatą opowiadały mi o Stowarzyszeniu Dzieci Holocaustu i jego działalności oraz historii podobnie jak ja ocalałych z II wojny światowej żydowskich dzieci. Przedstawiły mi także program edukacyjny, jaki realizują w szkołach i różnego rodzaju instytucjach edukacyjnych. Wtedy zrozumiałam, że chcę poznać historię mojej żydowskiej utraconej rodziny i włączyłam się w ich pracę. Wiedziałam, że to nie będzie łatwe. Musiałam od czegoś zacząć. Pojechałam do Izraela zebrać materiały o Częstochowie. Tam spotkałam dwie Panie, które w czasie urlopu w Ciechocinku poznały Danutę Marzec z Częstochowy. Danuta była właśnie w Izraelu i zbierała materiały o Korczaku. Pracowała w Wyższej Szkole Pedagogicznej w Częstochowie (obecnie Akademia im. Jana Długosza) i знаła osoby, które zajmowały się badaniem dziejów Żydów w tym mieście. Podczas mojej wizyty w Częstochowie przedstawiła mi dwóch pracowników naukowych: Zbigniewa Jakubowskiego i Jerzego Mizgalskiego, z którymi zaczęłam pracę nad odtwarzaniem historii mojej rodziny.

W dokumentalnym filmie „Lekcja historii: Miałam szczęście” dokonała Pani krótkiej, ale jakże dramatycznej syntezy wydarzeń, które wiązały się z życiem

¹ Elżbieta Mundlak – Zborowska – aktualnie mieszka w USA.

² Wywiad przeprowadziła Magdalena Mizgalska w maju 2010 r.

ocalonego dziecka i jego rodziny. Dla odbiorcy tego filmu pozostawiła Pani istotne dla przyszłych pokoleń przesłanie: „Życie ludzkie ma najcenniejszą wartość, a cenę człowieczeństwa określa stosunek do drugiego człowieka szczególnie ważny wówczas, gdy jest on w potrzebie.” Czy idea owego przesłania powstała przed, czy w trakcie studiowania materiałów dokumentalnych i pracy nad scenariuszem?

Cały film to była jedna wielka improwizacja. Nie było scenariusza, ja chodziłam po miejscach związanych z historią mojej rodziny i opowiadałam. Nie było jakiegoś ścisłego planu. Czasami niektóre ujęcia powstawały bardzo spontanicznie. Pod wpływem chwili i emocji mi towarzyszących.

Film ten to także odpowiedź na najtrudniejsze pytanie w dziejach ludzkości: Czy człowiek ma prawo odbierać życie drugiemu człowiekowi w imię: ideologii, religii lub politycznych celów? To protest przeciwko wszelkim przejawom rasizmu nietolerancji, ksenofobii. To kolejne przesłanie i przestroga dla nas drugiego już pokolenia po holocauście. Czy zgadza się Pani z moją interpretacją tego filmu?

Ten film to przede wszystkim hołd dla szlachetności i dobroci ludzi. Czy jest on przestrożą? Tak – żeby się nie poddać złu i nie dać się „zezwierzęcić”. W czasie II wojny światowej ludzie mogli przecież ulec słowom: „Leć i bierz ten pusty dom po Żydach...”. A mimo to znalazły się osoby, które decydowały się ratować ludzkie życia, narażając własne.

Ludzie w czasie wojny przywykli do zbrodni i przemocy dokonywanych na ich oczach. Przywykli do śmierci, której codziennie byli świadkami. Dlatego, przestawali czuć współczucie dla cierpiących i umierających. Przestawali reagować na wszelkie przejawy prześladowań. Po prostu przechodzili obojętnie. Ta obojętność, to było to, co niszczyło ludzi w czasie wojny.

Dlatego dziś nie możemy przechodzić obojętnie obok jakichkolwiek rasistowskich graffiti na ulicznych ścianach i murach. Nie ważne, jakiego narodu one dotyczą. Ważne jest to, że brak szybkiej interwencji oraz ich zamalowania jest dowodem na zobojętnienie. Nie możemy popełniać błędów naszych przodków! Musimy unikać ich błędów. Dlatego, ten film jest także przestrożą i nawoływaniem do interwencji przy jakichkolwiek przejawach rasizmu.

Jaki był stosunek polskiej rodziny, która ukrywała Panią podczas okupacji hitlerowskiej, do biologicznej matki i dalszych powojennych losów Elżuni?

Trafiłam do wspaniałej polskiej rodziny Wiktorii i Mariana Urbańczyków. Czułam się bardzo kochana i przywiązana do nich. Po czterech latach w ich domu pojawiła się moja biologiczna mama. To było zaskoczenie. Polscy rodzice nigdy nie liczyli się z taką ewentualnością. Adoptowali mnie jako sierotę. W międzyczasie żyliśmy się ze sobą. Początkowo Wiktorii i Marianowi zaproponowali mojej biologicznej mamie, abyśmy wspólne zamieszkali i stworzyli jedną rodzinę. Szybko jednak zrozumieli, że ten eksperyment się

nie uda. To nie było takie łatwe. Ja nie pamiętałam mamy. Była dla mnie obcą osobą. Wiktoria zasugerowała, aby moja mama nas odwiedzała przez pół roku. Przedstawiono mi ją jako Ciocię. Początkowo podczas wspólnych spacerów z moja biologiczną mamą wyczuwałam dziwność sytuacji. Stopniowo zapoznałam się z nią i przyzwyczaiłam do jej obecności. Oczywiście, moim polskim rodzicom było bardzo ciężko się ze mną rozstać. Na szczęście, to byli szlachetni ludzie. Zrozumieli, że oni mają jeszcze syna Andrzeja swoją rodzinę. Moja biologiczna mama nie miała nikogo poza mną.

Wracając do losów żydowskiej dziewczynki ukrywanej przez siostry zakonne Nazaretanki w Częstochowie, a następnie polską rodzinę Zielińskich. Kiedy dotarła do Pani świadomość o swoim żydowskim pochodzeniu? Po traumatycznych przeżyciach powrót do „normalności” był zapewne trudnym. W jaki sposób starała się Pani mama zorganizować życie w powojennej Polsce? Gdzie mieszkaliście? Jaka pracę zawodową podjęła Pani matka i ojczym? Gdzie i jakie szkoły ukończyła Pani w Polsce? Czy szkolni koledzy wiedzieli o Pani żydowskim pochodzeniu? Czy uczestniczyła Pani w organizowanych po wojnie próbach odbudowy kultury, tradycji i tożsamości żydowskiej?

Moja matka po wojnie wyszła za mąż za Juliana Rittermana, który pochodził ze starej, znanej żydowskiej rodziny w Krakowie. Razem zamieszkali w Opolu. Po wojnie mój ojczym Julian, (do którego mówiłam tato) był głównym projektantem cementowni w Polsce. Centrala tego Biura Przemysłu Cementowego znajdowała się w Krakowie. Ja chodziłam do szkoły podstawowej w Opolu. Po kilku latach urodziła się moja siostra. Tatuś został przeniesiony do Centrali w Krakowie. Ojcu wydawało się, że jest doceniany przez kolegów. W szczególności przez młodych inżynierów, którzy często podziwiali go i jego twórcze myśli. Tatuś brał także udział w różnych badaniach naukowych prowadzonych przez Akademię Górniczo-Hutniczą i współpracował z miesięcznikiem „Cement, Wapno, Gips”. Mamusia pomimo dużego doświadczenia zawodowego i dobrej posady (miała stanowisko w konsulacie w Szwajcarii) musiała przerwać pracę. Opiekowała się domem, a w szczególności moją siostrą, która była alergiczną i często chorowała. Rodzice nie należeli do Gminy Żydowskiej. Mój ojciec nigdy mnie nie wziął na cmentarz żydowski w Krakowie. Nie pokazał mi grobów jego przodków. Pomimo, że prawie codziennie przechodziłam obok cmentarza na ulicy Miodowej, gdzie znajdowała się moja szkoła. Prowadziło ją Towarzystwo Przyjaciół Dzieci i nie przywiązywano tam wagi do kształcenia nas w zakresie religii. Rodzice przyjaźnili się z Żydami, ale i katolikami. Pamiętam, kłopotliwe dla mnie sytuacje. Pewnego dnia odwiedziły mnie w domu katolickie koleżanki i oglądając mój pokój zapytały: „Gdzie jest twoje zdjęcie z I Komunii Świętej?” Zaniemówiłam, kompletnie nie wiedziałam, co odpowiedzieć. W Polsce można wtedy było spotkać różny stosunek do Kościoła: byli tacy, którzy do niego nie chodzi, komuniści, i inni. Dlatego, moje koleżanki przyjęły do wiadomości, że jestem

ateistką. W domu nie mówiło się o żydowskich korzeniach. Mam wrażenie, że rodzice uciekali od tego problemu. Chcieli mnie i moją siostrę uchronić. Nie uczestniczyliśmy w życiu kulturalnym i religijnym Żydów. Byliśmy oddaleni od zorganizowanego żydostwa. W Krakowie chodziłam do Liceum na ulicy Michałowskiego. Przed rozpoczęciem ostatniej- maturalnej klasy wyemigrowaliśmy do Wenezueli.

Decyzje o zmianie miejsca zamieszkania nie należą do łatwych tym bardziej trudnymi były decyzje o emigracji z Polski. Co przesądziło o jej podjęciu? Kiedy i do jakiego kraju wyjechaliście?

Mając czterdzieści sześć lat, mój Tata dostał ataku serca. Myślał, że ze względu na zdrowie, życie i pracę w Krakowie pozostanie tu na zawsze. Wprawdzie większość przyjaciół opuszczała Polskę. W 1957 roku on także o tym nie myślał. Przypuszczam, że ze względu na zdrowie bał się emigracji. Niestety, w haniebnym pięćdziesiątym siódmym roku pewnego dnia zastał rano w biurze pod szkłem swojego biurka fotografię Korczaka z dorysowanymi pejsami. Tego samego dnia po powrocie z pracy zdecydował, że wyjeżdżamy i złożył podanie o wizę do Wenezueli. Miał tam brata, który naciskał abyśmy do niego przyjechali. Drugie podanie złożyliśmy do Australii, gdzie mój Tata miał kuzynów i braci Rittermanów z Krakowa. Oni także namawiali go do wyjazdu. Było to prawdopodobnie z początkiem 1957 roku. Wizy nadeszły, kiedy byliśmy na wakacjach w Sopocie. Zdecydowaliśmy jechać do Wenezueli. Szybko wróciliśmy do Krakowa i z dwoma walizkami wyjechaliśmy z Polski. Nasze mieszkanie przejęli nowi imigranci ze Związku Radzieckiego, którzy kupili nasze meble, pianino etc. Przedtem mama spakowała dużą skrzynię gdzie była biblioteka zawodowa ojca i domowe potrzebne rzeczy jak serwis, przybory kuchenne, ściereczki kuchenne etc. Kupiliśmy cztery bilety na Air France z postojem miesięcznym w Paryżu, bo nie było miejsca wcześniej na lot za złotówki do Wenezueli. Wyjechaliśmy jako rodzina Zielińskich, to było wojenne nazwisko matki. Przybrał je również mój ojciec, który zaadoptował mnie jak miałam 6 lat. Sam używał: Julian Zieliński-Rittermann, ponieważ dyplomy miał na Rittermann. Pobyt w Paryżu był bardzo skromny, opłacony przez brata ojca Zygmunta. Dla nas to był raj, chociaż rodzice dwa tygodnie mieli gripę azjatycką. Nikt w hotelu nie mógł wiedzieć o tej chorobie, bo by nas wyrzucili. Ja codziennie spacerowałam z siostrą po Paryżu. Było cudownie. Rodzice mieli antybiotyk, który dostali od znajomego lekarza w Paryżu i wyleczyli się. Ja miałam tą gripę w Polsce krótko przed wyjazdem. Wystraszeni rodzice myśleli, że to, polio, była akurat epidemia. Na szczęście terramycyna importowana i podarowana przez przyjaciółkę pielęgniarkę, pomogła mi. W ten sposób rodzice już wiedzieli, o jakie lekarstwo prosić w Paryżu.

Rodzice, moja siostra Daniela, która miała wtedy 8 lat i ja 16-latką wylądowaliśmy na lotnisku w Maiquetia nad morzem, pół godziny od Caracas. Był początek listopada 1957 roku. Ojciec miał 50, zaś matka 46 lat. Lekarz przestrzegał tatę jeszcze w Polsce, że

jego serce nie wytrzyma tropiku, i nie powinien wyjeżdżać. Ojciec zdecydował, że co będzie, to będzie, ale dzieci musi wyciągnąć z Polski. Wcześniej, czy później ktoś im przypomni, że jak pisał Tuwim „są nietutejsi”. Ojciec żył jeszcze 20 lat w Wenezueli. Był profesorem bardzo cenionym na Uniwersytecie w Caracas. Zmarł młodo, w wieku 69 lat. Był wtedy w pełni sił pracy twórczej. Powtarzał, że były to najwspanialsze jego lata, chociaż miał piękną młodość. Jako młodzieniec wiele osiągnął: mistrzostwo Polski pływania kraulem i „Maccabi Kraków”, kilka razy mistrz Polski w water-polo. Grał tam razem z swoim bratem Zygmuntem i dwójką kuzynów. Razem w jednej drużynie było czterech Rittermanow. Studiował inżynierię w Czeskiej Pradze ze względu na „Numerus Clausus” i tam dobrze się bawił. Był także mistrzem nart. Podsumowując, miał piękne życie przed wojną, a jednak... Wenezuela, to dla niego był raj...

Nowe miejsce osiedlenia to nowe problemy związane chociażby z organizacją życia codziennego, adaptacją w środowisku i znalezieniu swojego miejsca w lokalnej społeczności. Czy spotykała się Pani z zyczliwością i pomocą środowiska żydowskiego w nowym kraju osiedlenia?

Początki w Wenezueli, z obiektywnego punktu widzenia, nie były łatwe. Klimat, serdeczni ludzie i w owym czasie całkowity brak antysemityzmu, to wszystko było dla nas wspaniałe. Ten wyjazd, to najlepsza decyzja rodziców. Dali oni mnie i siostrze szansę na wolne życie. Spotkaliśmy wielu przyjaźnie nastawionych do nas ludzi. Moi wujkowie należeli do Gminy żydowskiej. Wkrótce po przyjeździe poznałam cztery lata starszego ode mnie młodzieńca, który studiował w Nowym Yorku inżynierię mechaniczną. Nazywał się Aleksander Mundlak. Pochodził z Nowego Dworu Mazowieckiego. Razem z rodzicami przeżył wojnę na aryjskich papierach. Ja miałam dwadzieścia lat, kiedy wzięliśmy ślub cywilny. Po miesiącu odbył się nasz religijny ślub pod hupą.

Osiągnęła Pani sukcesy zawodowe, naukowe, ukończyła studia i pracowała jako pracownik naukowy oraz dydaktyczny. Czy może Pani powiedzieć kilka słów na ten temat?

W moim domu zawsze ceniło się ludzi, którzy mieli sukcesy naukowe. Tata chciał, abym poszła w jego ślady. Mawiał: „Inżynier zawsze i w każdym kraju znajdzie pracę.” Nigdy nie zapomnę chwili, kiedy wkrótce po przyjeździe do Wenezueli bardzo szanowany inżynier, Wenezuelczyk, na jakimś zebraniu zapytał ojca: „Czy to prawda, że Pan jest Żydem?” Ojciec początkowo się trochę obruszył i odpowiedział, że tak. Zdecydowanie „nie było mu w smak” pytanie tego Pana. Ten szanowany i ważny inżynier powiedział wtedy: „Wiesz, ja pochodzę od marranów-Żydów hiszpańskich, którzy uciekli przed inkwizycją i jestem bardzo z tego dumny. Ojciec wrócił ze spotkania do domu i powiedział wzruszony: „Nie uwierzcie, co mi się dzisiaj przytrafiło...” Ja po obronie pracy magisterskiej z chemii, zostałam przyjęta do jego katedry inżynierii mechanicznej, jako asystentka. Uczyłam się termodynamiki. Jako inżynier chemii, byłam do tego przedmiotu

dobrze przygotowana. Całe lata pracowaliśmy z tatą w jednym biurze i o 11 rano razem chodziliśmy na czarną kawę. On zwykł mawiać: „Ta praca jest dobra i dla starych i dla kobiet z dziećmi”. Rzeczywiście jako matka bardzo cieszyłam się, że mam długie wakacje. Kiedy ojciec zmarł, po operacji prostaty [dostał embolie], nigdy już nie wróciłam do naszego biura. Włączyłam się parę miesięcy po różnych biurach w uniwersytecie. Wkrótce wyjechałam z rodziną do Nowego Yorku na cztery lata, gdzie otrzymałam stypendium i obroniłam całkowicie opłacony przez Uniwersytet, doktorat z inżynierii środowiska.

Powrót do żydowskich tradycji, to powrót do kultury i religii. Duchowym przewodnikiem przez ponad 40 lat był Pani pradziadek nadrabin Nachum Asz. Jak przebiegała ewolucja Pani postaw w stosunku do tradycji i życia religijnego?

Żydowska rodzina, w której się wychowywałam, nie była bardzo religijną. Ja w Polsce nie chodziłam do żydowskiej szkoły. Bardzo mi teraz tego brakuje. Od czasu ślubu z moim pierwszym mężem Aleksandrem, a potem Elim Zborowskim wciąż zdobywam coraz więcej wiadomości w dziedzinie judaistyki.

W trakcie pracy nad Pani dokumentalnym filmem powróciła Pani do Polski i do Częstochowy. Jakie wrażenie wywarła na Pani Polska i Częstochowa po wielu latach? Z jakimi postawami współczesnych Częstochowian spotykała się Pani przy realizacji filmu dokumentalnego?

Jeśli chodzi o Częstochowę, to nie miałam skali porównania. Tutaj się urodziłam i przebywałam jako niemowlę, dlatego nic nie pamiętam z tego miasta. Wszystko mnie fascynowało: ciepło i entuzjazm ludzi, których poznałam; rozbudowane życie kulturalne np. organizacja konkursu Hubermana; wspaniali i utalentowani artyści z Wyższej Szkoły Pedagogicznej oraz profesjonalny sprzęt i pracownie. Z ich pomocą udało się zorganizować wystawę „Żydzi Częstochowianie”. Uprzejmość i praca Dyrektora Państwowego Archiwum w Częstochowie Pani Elżbiety Surmy-Jończyk pozwoliły na dołączenie do wystawy niezmiernie ważnych dla Żydów Częstochowian historycznych dokumentów.

